

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

SAM

Znowu za nią tęskniłem.

Po jej telefonie straciłem wiele godzin, robiąc... sam nie wiem co. Byłem odurzony dźwiękiem głosu Grace. Moje myśli gonily jedna drugą, na okrągło dręczyły mnie te same pytania. Zastanawiałem się, czy udałoby mi się ją zobaczyć, gdybym wcześniej odebrał wiadomość, gdybym nie poszedł do szopy, żeby szukać śladów innych wilków, gdybym nie wszedł głębiej w las i nie krzyczał prosto w niebo, sfrustrowany atakiem Cole'a, nieobecnością Grace i przytłoczony ciężarem bycia sobą.

Nurzałem się w tych pytaniach aż do zmroku. Zgubiłem kilka godzin życia jak podczas przemiany, choć przecież nie opuściłem własnej skóry. Minęły lata, od kiedy ostatni raz straciłem poczucie czasu w podobny sposób.

Kiedyś moje życie tak wyglądało. Potrafiłem patrzeć przez okno całymi godzinami, dopóki nogi pod mną nie zasnęły. To było na samym początku, kiedy zamieszkałem z Beckiem – musiałem mieć z osiem lat – niedługo po tym, jak rodzice zostawili mnie z moimi bliźniami. Czasami Urlik brał mnie pod pachy i zanosił do kuchni, do świata zamieszkanego przez innych ludzi, którego ja byłem tylko drżącym milczącym świadkiem. Godziny, dni, miesiące znikwały, zagubione w jakimś innym miejscu, które nie należało ani do Sama, ani do wilka. Dopiero Beck sprawił, że zły czar przysł.

Pewnego dnia podał mi chusteczkę. To był wystarczająco dziwny prezent, żebym wrócił do rzeczywistości. Beck pomachał mi nią przed nosem.

– Sam. Twoja twarz – rzucił enigmatycznie.

Dotknąłem moich policzków. Były nie tyle wilgotne, co lepkie od wspomnienia zalewających je łez.

– Nie płakałem – zapewniłem go.

– Wiem – odparł Beck.

Podczas gdy przyciskałem chusteczkę do twarzy, dodał:

– Powiem ci coś, Sam... W twojej głowie jest mnóstwo małych pudełek.

Spojrzałem na niego pytająco. To też była na tyle dziwna myśl, że przykuła moją uwagę.

– Jest tam dużo pustych pudełek i możesz wkładać do nich różne rzeczy. – Beck podał mi kolejną chusteczkę, żebym mógł wytrzeć drugą stronę twarzy.

W tamtym momencie jeszcze nie ufałem całkowicie mojemu opiekunowi. Pamiętam, że pomyślałem, że opowiada mi bardzo kiepski dowcip, którego nie rozumiem. W moim głosie zabrzmiała czujność, nawet jak dla mnie:

– Jakiego rodzaju rzeczy?

– Smutne rzeczy – wyjaśnił Beck. – Czy masz dużo smutnych rzeczy w swojej głowie?

– Nie – zaprzeczyłem.

Beck zagryzł dolną wargę.

– No cóż, ja mam.

To było szokujące. Nie zadałem pytania na głos, ale nachyliłem się w jego stronę.

– I te rzeczy sprawiały, że chciało mi się płakać – ciągnął Beck. – Kiedyś płakałem przez nie całymi dniami.

Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że to na pewno kłamstwo. Nie potrafiłem sobie wyobrazić płaczącego Becka. Był jak skała. Nawet wtedy, gdy to mówił, wyglądał na opanowanego, pewnego, niezmiennego.

- Nie wierzysz mi? Zapytaj Urlika. To on musiał się ze mną męczyć – przekonywał mnie opiekun.
- I wiesz, co w końcu zrobiłem z tymi smutnymi rzeczami? Powkładałem je do pudełek. Włożyłem te smutne rzeczy do pudełek w mojej głowie, pozamykałem je, pozaklejałem taśmą, upchnąłem w kącie i jeszcze przykryłem kocem.
- Mózgową taśmą? – zasugerowałem ironicznie. Ostatecznie miałem osiem lat.

Beck uśmiechnął się tym jedynym w swoim rodzaju uśmiechem, którego wtedy jeszcze nie rozumiałem. Poczuł ulgę, że udało mu się sprowokować żart z mojej strony, niezależnie od tego, jak bardzo był żalony.

- Tak, mózgową taśmą. I mózgowym kocem. Teraz już nie muszę patrzeć na te smutne rzeczy. Czasami mógłbym chyba otworzyć pudła, gdybym chciał, ale wolę trzymać je zaklejone.
- Jak użyłeś tej mózgowej taśmy?
- Musisz to sobie wyobrazić. Pomyśl, że wkładasz smutne rzeczy do pudełek i wyobraź sobie, że zaklejasz pudełka mózgową taśmą. I wyobraź sobie, że spychasz je w kąt mózgu, tam gdzie się o nie nie potkniesz, kiedy będziesz myślał o czymś innym, a potem zarzuć na nie koc. Masz jakieś smutne rzeczy, Sam?

Widziałem zakurzony kąt mojego mózgu, gdzie teraz stały te pudła. Były ogromne – na tyle wysokie, że można byłoby z nich budować domy – a do ich zaklejenia zużyłem wiele rolek mózgowej taśmy. Obok leżały żyletki, które chciały otworzyć pudełka i mnie z powrotem.

- Mama – wyszeptałem.

Nie patrzyłem na Becka, ale kątem oka zobaczyłem, jak z trudem przetyka ślinę.

- Co jeszcze? – Ledwie usłyszałem jego pytanie.
- Woda – przyznałem. Zamknąłem oczy. Widziałem to pod powiekami i musiałem się zmusić do wypowiedzenia następnego słowa. – Moje...

Palcami dotknąłem blizn.

Beck wyciągnął rękę i z wahaniem dotknął mojego ramienia. Kiedy się nie odsunąłem, objął mnie, a ja przytuliłem się do jego piersi, czując, że jestem tylko małym, zagubionym, ośmioletnim chłopcem.

- Ja – powiedziałem.

Miałem zamknięte oczy i wydawało mi się, że bicie serca Becka, które słyszałem przez wełniany sweter, było jedynym dźwiękiem na świecie. Mój opiekun milczał przez długi czas, przytulając mnie, a potem poradził:

- Włóż do pudełek wszystko poza sobą, Sam. Ciebie chcemy zachować. Obiecuj mi, że zostaniesz tutaj z nami.

Siedzieliśmy tak przez dłuższy czas, a kiedy w końcu wstaliśmy, wszystkie moje smutne rzeczy były w pudełkach, a Beck był moim ojcem.

Teraz wyszedłem na zewnątrz, na podwórze i położyłem się na ogromnym starym pniu, tak żebym mógł widzieć gwiazdy nad głową. Potem zamknąłem oczy i powoli powkładałem moje troski do pudełek, jedną po drugiej, i pozaklejałem je taśmą. Pociąg do autodestrukcji Cole'a do jednego, Tom Culpeper do drugiego. Nawet głos Isabel dostał oddzielne pudełko, bo teraz po prostu nie mogłem go znieść.

Z każdym następnym pudłem czułem się odrobinę lżejszy, trochę łatwiej mi się oddychało.

Jedyna rzecz, której nie potrafiłem schować, to mój smutek związany z moją tęsknotą za Grace. Ten zachowałem. Zastługiwałem na niego.

A potem po prostu leżałem na pniu.

Rano szedłem do pracy, więc powinienem był już spać, ale wiedziałem, że i tak nie uda mi się zasnąć. Za każdym razem, gdy zamykałem oczy, nogi zaczynały mnie boleć jak po biegu, a moje powieki drżały, jakby czuły, że powinny być otwarte. Przypominałem sobie, że muszę odświeżyć listę kontaktów w

telefonie, i że któregoś dnia naprawdę powinienem uprasować tę górę prania, którą wyjąłem z pralki tydzień temu.

Myślałem też o tym, że powinienem poważnie porozmawiać z Cole'em.

Pień miał tak dużą średnicę, że moje nogi tylko odrobinę wystawały poza krawędź. To drzewo – a właściwie dwa rosnące razem – musiało być ogromne, kiedy jeszcze żyło. Na pniu były czarne blizny w miejscach, w których Paul i Urlik odpalali fajerwerki. Gdy byłem młodszy, liczyłem słoje w pniach. Drzewa żyły dłużej niż ktokolwiek z nas.

Gwiazdy w górze wirowały w nieskończonej przestrzeni niczym skomplikowane mobile* stworzone przez gigantów. Przyciągały mnie do siebie, w otchłań i wspomnienia. Leżąc na plecach, przypomniałem sobie, jak zostałem zaatakowany przez wilki dawno temu, gdy byłem jeszcze kimś innym. Mój poranek i moje życie rozciągały się przede mną jak klatki filmu, każda sekunda tylko odrobinę różniła się od następnej. Cud płynnej, niezauważalnej metamorfozy. W jednej chwili byłem sam. A już w następnej chwili pojawiały się wilki.

Westchnąłem. Nad moja głową satelity i planety poruszały się pomiędzy gwiazdami. Kłębowisko chmur brzemiennych w błyskawice napływało powoli z północnego zachodu. Mój umysł skakał niespokojnie pomiędzy teraźniejszością – pniem drzewa, którego fakturę czułem pod łopatkami – a przeszłością – moim plecakiem zmiażdżonym pode mną, kiedy wilki wtaczały moje ciało w zaspę śniegu. Matka uzbroiła mnie w zimową niebieską kurtkę w białe paski na ramionach i w rękawiczki zbyt puchate, żeby można było swobodnie poruszać palcami.

W moich wspomnieniach nie słyszałem samego siebie. Widziałem tylko, jak poruszają się moje usta, a patykowate kończyny siedmiolatka młóć pyski wilków. Obserwowałem siebie, jakbym wyszedł z własnego ciała: niebiesko-biała kurtka uwięziona pod czarnym wilkiem. Pod jego łapami wyglądała na wiotką i pustą, jakbym już zniknął i porzucił swoje ludzkie życie.

– Patrz na to, Ringo.

Uniosłem powieki. Dopiero po chwili zarejestrowałem obecność Cole'a obok mnie. Siedział na pniu ze skrzyżowanymi nogami. Był ciemnym kształtem na tle nieba, które w kontraście z jego sylwetką wydawało się szare. Trzymał moją gitarę, jakby była nabita kolcami.

Zagrał D-dur, źle, nieczysto, i zaśpiewał skrzypiącym niskim głosem:

– *Zakochałem się w niej latem...* - Potem niezdarnie zmienił akord i melodramatycznie dokończył: - *W mej uroczej letniej dziewczynie.*

Uszy mi zapłonęły, kiedy usłyszałem własny tekst.

– Znalazłem twoją płytę... - Cole gapił się na gryf gitary przez bardzo długi czas, zanim ułożył dłoń do następnego akordu. Jednak wszystkie palce na progach położył źle, więc dźwięk był bardziej perkusyjny niż melodyjny. Wydał z siebie uprzejme chrząknięcie konsternacji, a potem spojrzał na mnie i dodał: - ... kiedy grzebałem w twoim samochodzie.

Tylko potrząsnąłem głową.

– *Ona z tłuszczu jest zrobiona, ma urocza tłusta dziewczyna* – dodał zupełnie bez sensu, śpiewając do wtóru kolejnego nieczystego D-dur. Sztucznie przyjemnym głosem powiedział: - *Myślę, że mógłbym skończyć tak jak ty, Ringo, gdyby matka karmiła mnie mrożonym latte, a wilkołaki czytały mi wiktoriańską poezję na dobranoc.* – Zauważył moją minę. – Och, tylko się nie unoś niepotrzebnie, mój drogi.

– Bez obaw – wycodziłem. – Piłeś?

– Wydaje mi się, że wypilem już wszystko, co było w tym domu. Więc nie.

* Mobil – kolorowa wisząca ozdoba poruszająca się na wietrze.

- Dlaczego grzebałeś w moim samochodzie?
- Bo ciebie w nim nie było – wyjaśnił Cole, po czym uderzył w ten sam akord. – Łatwo wpada w ucho, zauważyłeś? *Chciałbym spędzić całe lato z ma uroczą letnią dziewczyną, ale nigdy nie jestem dość męski dla mej wstrętnej letniej wiewiórki...*

Obserwowałem samolot pełznący po niebie, jego światełka mrugały z oddali. Wciąż pamiętałem, jak pisałem ten utwór ostatniego lata, zanim naprawdę poznałem Grace. To była jedna z tych piosenek, które wypłynęły ze mnie w pośpiechu. Siedziałem skulony nad gitarą w nogach łóżka, próbując dopasować akordy do słów, zanim umknie mi melodia. Śpiewałem ją pod prysznicem, żeby dobrze zadomowiła się w mojej pamięci. Nucilem ją, kiedy składałem pranie w suszarni w piwnicy, bo nie chciałem, żeby Beck usłyszał, że śpiewam o dziewczynie. Cały czas pragnąłem wtedy niemożliwego, pragnąłem tego, czego wszyscy chcieliśmy: przetrwać dłużej niż lato.

Cole w końcu przerwał swoje bezsensowne zawodzenie i powiedział:

- Oczywiście bardziej podoba mi się ta z akordem molowym, ale nie potrafię go rozgryźć. – Podjął próbę zagrania innego akordu. Gitara zabrzęczała nieczysto.
- Gitara słucha tylko swojego pana – wyjaśniłem.
- Tak – zgodził się Cole – ale Grace tutaj nie ma. – Wyszczrzył do mnie zęby w przebiegłym uśmiechu. Znowu trącił ten sam akord. – To jedyny, który umiem grać. Tyko popatrz, Ringo. Dziesięć lat gry na pianinie, a gdy dostaję gitarę do ręki, jestem jak śliniace się dziecko.

Chociaż słyszałem go w nagraniach „NARKOTIKI”, zaskakująco trudno było mi sobie wyobrazić Cole’a biorącego lekcje gry na pianinie. Żeby nauczyć się grać na jakimś instrumencie, potrzeba pewnej tolerancji dla idei żmudnej pracy i błędów. I umiejętności cierpliwego siedzenia w jednym miejscu.

Obserwowałem błyskawicę przeskakującą z chmury na chmurę. Powietrze stawało się coraz cięższe, jak przed burzą.

- Przykładasz palce za blisko progów. To stąd to brzęczenie. Przesuń je dalej i dociśnij mocniej. Tylko czubkami palców, nie całymi opuszkami.

Nie sądziłem, że bym opisał to dobrze, ale Cole przesunął palce i zagrał akord idealnie, bez brzęczenia i martwych dźwięków.

Patrząc z rozmarzeniem w niebo, zaśpiewał:

- *Jestem przystojniakiem i siedzę na pniu...* - spojrzął na mnie. – Powinieneś zaśpiewać następny wers.

To była gra, w którą bawiłem się kiedyś z Paulem. Zastanowiłem się, czy nie jestem zbyt zirytowany na Cole’a za to, że nabijał się z mojej muzyki, żeby do niego dołączyć. Po odrobinę zbyt długiej przerwie dodałem na tę sama nutę i bez przekonania:

- *Patrzę sobie w gwiazdy po bardzo długim dniu.*
- Nieźle, emo-chłopcze – pochwalił mnie. Grzmot zadudnił w oddali. Cole zagrał kolejny akord i zaśpiewał: - *Niewiele mnie czeka na tym wygwizdowie...*

Podparłem się na łokciach. Cole trącił akord dla mnie, a ja dokończyłem:

- *Nawet ten obdarty pies mi to powie.* – A potem dodałem: - Zamierzasz grać jeden i ten sam akord przy każdym wersie?
- Prawdopodobnie. To mój najlepszy. Jestem artysta jednego hitu.

Sięgnąłem po gitarę, ale robiąc to, poczułem się jak tchórz. Czułem, że biorąc udział w tej grze, w pewien sposób godzę się na wydarzenia minionego wieczoru, na to, co Cole robił z domem podczas kolejnych tygodni, to, co robił sobie w każdej minucie kolejnego dnia.

Ale kiedy wziąłem od niego gitarę i lekko przebiegłem palcami po strunach, żeby sprawdzić, czy jest dobrze nastrojona, przyszło mi do głowy, że to właśnie język muzyki jest mu bliższy niż jakikolwiek inny. To właśnie tego języka powinienem użyć, żeby przeprowadzić z nim poważną rozmowę.

Zagrałem F-dur.

- Teraz to co innego – ucieszył się Cole, ale nie zaśpiewał następnego wersu. Teraz, kiedy to ja siedziałem z gitarą, on przybrał moją pozycję na pniu – położył się i zapatrzył w niebo. Przystojny i opanowany, wyglądał, wyglądał jakby został tam upozowany przez śmiałego fotografa, jakby atak padaczki poprzedniego wieczoru w ogóle go nie poruszył. – Zagraj ten molowy akord.
- Który?
- Ten od „żegnaj”.

Spojrzałem w czarny las i zagrałem a-moll. Przez chwilę nie było słycać żadnego dźwięku z wyjątkiem brzęczenia jakiegoś owada pośród drzew.

- Nie, zaśpiewaj cały kawałek – poprosił Cole.

Pomyślałem o tym, jak nabijał się ze mnie, przekręcając piosenkę o letniej dziewczynie i zaprotestowałem:

- Nie. Ja... nie.

Cole westchnął, jakby spodziewał się, że go rozczaruję. Nad naszymi głowami huczały grzmoty, wyprzedzając burzową chmurę, która zaczynała otulać wierzchołki drzew niczym dłoń kryjąca sekret. Z roztargnieniem przebiegałem palcami po strunach – to mnie uspokajało – i patrzyłem w górę. To było fascynujące, jak ta chmura, pomiędzy błyskami piorunów, zdawała się Świecić od wewnątrz, jakby zbierała światło ze wszystkich domów i miast, które mijają po drodze. Wyglądała sztucznie na czarnym niebie: fioletowoszara, z ostrymi krawędziami. Wydawało się niemożliwe, żeby coś takiego istniało w naturze.

- Biedne są – zadumał się Cole ze wzrokiem utkwionym w gwiazdach. – Muszą być już zmęczone obserwowaniem, jak wciąż popełniamy te same cholerne błędy.

Nagle poczułem, że jestem niesamowitym szczęściarzem, że mam na co czekać. Bo niezależnie od tego, jak mnie to gnębiło, odbierało mi sen i kradło myśli, na końcu tego nieskończonego czekania była Grace.

A na co czekał Cole?

- A teraz? – zapytał.

Przerwałem grę na gitarze.

- Teraz co?

Cole uniósł się i oparł na łokciach, wciąż patrząc w niebo. Zaśpiewał, kompletnie bez skrępowania – ale w sumie dlaczego miałby się krępować. Byłem widownia o dwa tysiące ludzi mniejszą niż ta, do jakiej przywykł:

Tysiąc sposobów, by powiedzieć „żegnaj”.

Tysiąc sposobów, by uronić łzę jedną...

Trąciłem a-moll, a on uśmiechnął się przepaszająco, gdy uświadomił sobie, że zaczął w złej tonacji. Zagrałem akord ponownie i tym razem zaśpiewałem. I też nie czułem się skrępowany, bo Cole już słyszał mnie na płycie, więc nie mógł się rozczarować:

Tysiąc sposobów, by powiedzieć „żegnaj”.

Tysiąc sposobów, by uronić łzę jedną.

*Tysiąc sposobów, by nałożyć kapelusz,
nim po raz ostatni wyjdiesz na zewnątrz.*

*Więc wołam: - Żegnaj, żegnaj, żegnaj!
Krzyczę to tak głośno, głośno,
bo następnym razem, gdy odzyskam głos,
może być już za późno.*

Podczas gdy śpiewałem: „Żegnaj, żegnaj, żegnaj!”, Cole dołączył się, udając chórki, które nagrałem na swoim demo. Gitara była odrobinę rozstrojona – tylko struna B, jak to zwykle struna B – i my też trochę fałszowaliśmy, ale było w tym coś pocieszającego i kojącego.

To była tylko jedna postrzępiona lina rzucona nad przepaścią, która nas dzieliła. Nie była wystarczająco mocna, żeby po niej przejść, ale dzięki tej chwili pomyślałem, że być może otchłań między nami nie jest aż tak szeroka, jak mi się początkowo wydawało.

Na koniec Cole wydał z siebie syczące „aaaa aaaaa aaaa”, naśladowując dźwięk widowni. Nagle gwałtownie przerwał i spojrzał na mnie, przechylając głowę. Zmrużył oczy, nastuchiwał.

A potem i ja je usłyszałem.

Wilki zawodziły. Ich odległe głosy były raz melodyjne, innym razem nieharmonijne, a potem znowu zlewały się w jedność. Tego wieczoru brzmiały niespokojnie, ale pięknie. Czekwały, jak my wszyscy, na coś, czego jeszcze nie potrafiliśmy nazwać.

Cole wciąż na mnie patrzył, więc wyjaśniłem:

- To ich wersja tej piosenki.
- Wymaga trochę pracy – odpowiedział, po czym spojrzał na moją gitarę. – Ale brzmi całkiem nieźle.

Potem siedzieliśmy w milczeniu, słuchając wycia wilków rozlegającego się pomiędzy kolejnymi uderzeniami piorunów. Bez powodzenia starałem się wyłapać spośród nich głos Grace. Rozpoznawałem tylko te wilki, z którymi dorastałem. Próbowałem sobie uświadomić, że przecież dopiero co, po południu, słyszałem przez telefon prawdziwy głos mojej dziewczyny. To nic nie oznaczało. Że teraz milczała.

- Nie potrzebujemy deszczu – zauważył Cole.

Ściągnąłem tylko brwi.

- Chyba musimy wracać do środka. – Klepnął się w ramię, po czym strzepnął z ubrania niewidocznego owada. Wstał, zatknął kciuki za tylne kieszenie spodni i spojrzał w las. – W Nowym Jorku Victor...

Przerwał. W domu zadzwonił telefon. Zanotowałem w pamięci, żeby zapytać go później co w tym Nowym Jorku, ale kiedy wszedłem do środka, okazało się, że dzwoni Isabel. Powiedziała, że wilki zabiły dziewczynę i to nie była Grace, ale że muszę włączyć cholerny telewizor.

Więc go włączyłem. Staliśmy przed kanapą. Cole skrzyżował ręce na piersi, a ja skakałem po kanałach.

Wilki znowu były na tapecie. Pewnego razu dziewczynka została zaatakowana przez drapieżniki z Mercy Falls. Wtedy relacja dziennikarzy była krótka i oparta na domysłach. Słowem, jakiego używano, był „wypadek”.

Minęło dziesięć lat i teraz inna dziewczyna została zaatakowana. Zabita. Relacja ciągnęła się w nieskończoność.

Słowem, które często padało, była „eksterminacja”.